HerStories
Telling Jewish women's stories



Ludmila Rutarova

Nazwisko panieńskie
Weinerova

Miejsce urodzenia
Praga, Czechy

Data urodzenia
1920

Miejsce śmierci
Praga, Czechy

Data śmierci
2013

Dzieciństwo

Moja matka Helena Weinerova z domu Winternitzova, urodziła się w 1896 r. w Cernovicach koło Taboru. W 1912 r. siostry mojej matki, Ema i Marta, jechały do Ameryki. Były w Anglii, czekając na statek, dla zabicia czasu poszły na tańce. Były młode, chciały się bawić, taniec trwał, więc przegapiły statek. Nie miały pojęcia, jakie to szczęście, ponieważ ich statkiem był Titanic. Taki jest los. Kiedy ich rodzice dowiedzieli się, że Titanic zatonął, byli zrozpaczeni, ale Ema i Marta napisały do domu, że przegapiły statek, więc popłynęły innym. Ostatecznie obie zostały w Ameryce.

Mój ojciec [Alfred Weiner] zawsze lubił opowiadać o tym, jak poznali się moi rodzice. W Cernovicach mama znała kogoś o imieniu Emil, chodzili ze sobą od kilku lat i już było wiadomo, że się pobiorą. Kiedy Emil przyszedł prosić dziadka o rękę mojej mamy, bardzo go interesowało, jaki posag dostanie mama. Gdy dziadek wyliczył wszystko, co dostanie, Emil zapytał, czy dostanie w posagu także krowę. Na to mój dziadek odpowiedział, że nie dostanie krowy. Moja mama podsłuchiwała za drzwiami i kiedy to usłyszała, powiedziała: „Chciałeś krowę? Więc żeń się z krową!" I wyjechała do Pragi. W Pradze poznała mojego ojca i wyszła za niego za mąż, na przekór.

Mieszkaliśmy w Pradze na ulicy Na Morani, niedaleko mostu Palackiego. Mieliśmy służącą, Helenę. Moi rodzice mieli sklep wielobranżowy, w którym sprzedawali różne towary: owoce, warzywa, pieczywo, masło, jajka, mleko, kawę, herbatę, cukier, czasem nawet kurczaki i gęsi. W czasie Protektoratu musieliśmy zamknąć sklep i przenieść się do jednego pokoju. Wcześniej mieszkaliśmy w budynku, w którym był nasz sklep i mieliśmy małe mieszkanie.

W zasadzie byliśmy zsekularyzowaną rodziną, religia nie miała w naszym życiu znaczenia. Obchodziliśmy chrześcijańskie Boże Narodzenie, nawet mieliśmy choinkę. Nie gotowaliśmy koszernie. Mój ojciec chodził do Synagogi Jerozolimskiej tylko na Sądny Dzień [Jom Kippur] lub Nowy Rok [Rosz ha-Szana], nawet nie wiem dokładnie, na które z tych świąt.

W Pradze, począwszy od III klasy, uczęszczałam do żeńskiej szkoły powszechnej „Na Hradek" przy ul. Wyszehradzkiej. Potem poszłam do szkoły handlowej i zaliczyłam ostatni rok w szkole reformowanej. Po ukończeniu szkoły zostałam zatrudniona jako urzędniczka w Tauber&Fisl w Vysočanach. Musiałam wyjechać, bo sytuacja polityczna zaczynała się robić nieprzyjemna - jako Żydówka nie mogłem zostać zatrudniona w biurze. Mój brat Pepik [Josef] chciał iść do akademii handlowej na Resslovej, ale sytuacja była już bardzo zła, więc się tam nie dostał. Ojciec obawiał się, że może dostać wezwanie do wojska, więc [rodzice] wysłali mojego brata do Ringhoffera do Tatry, aby uczył się na mechanika. Po wojnie został tam najmłodszym majstrem.

Terezin

W czasie wojny, kiedy zrobiło się nieprzyjemnie, rodzice powiedzieli, żebym nie szła do pracy. Nie mogłam pracować w biurze, bo nikt by mnie nie przyjął. Znalazłam księdza, o. Culika, który mnie ochrzcił i zostałam katoliczką. Stopniowo wydawano różne zarządzenia nakazujące Żydom oddawanie różnych rzeczy i w zasadzie nic nam wtedy nie było wolno. Zabronili nam chodzić do teatrów, do kina, nie można było iść do parku, mogliśmy jeździć tylko tylnym wagonem tramwaju i oczywiście musieliśmy nosić gwiazdę [Dawida].

Mój brat Josef wyjechał w listopadzie 1941 roku drugim transportem do Terezina. Od tego czasu nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. Ja wraz z rodzicami pojechałam transportem w kwietniu 1942 roku. Najpierw umieścili nas w piwnicy baraku Kavalir, na słomie. Potem został tam mój ojciec, a mnie z mamą przenieśli do koszar hamburskich. Początkowo mieszkałyśmy na parterze, tam zachorowałam, złapałam jakąś grypę i większość czasu spędziłam w łóżku. Następnie przenieśli nas na pierwsze piętro do sali nr 165, gdzie łącznie

było około pięćdziesięciu kobiet.

Terezin miał własną walutę, tzw. „Ghettogeld", którą dostawaliśmy za pracę. W getcie było kilka sklepów, w których można było kupić rzeczy zrabowane ludziom, którzy przybyli do Terezina. Były też sklepy spożywcze, ale można było w nich dostać tylko ocet i musztardę, w zasadzie nic.

Cały czas w Terezinie pracowałam w rolnictwie, w tzw. *Landwirtschaft*. Zbieraliśmy się, na początku okopywaliśmy marchew, przerzedzaliśmy buraki, uprawialiśmy pomidory, fasolę i różne inne rzeczy. Zimą wykonywaliśmy słomiane maty do szklarni. W Terezinie poznałam Reginę, dziewczynę, z którą pracowałam w ogródku pracowniczym, gdzie uprawiałyśmy ogórki i inne warzywa. Kradłyśmy ogórki, ale ja nie umiałam dużo kraść, byłam w tym kiepska. Regina natomiast była sprytna, zawsze mi jeden wyrywała i mówiła: „Po prostu wsadź sobie w stanik!" Więc wsadzałam je do stanika i mogłam coś przemycić do getta dla moich rodziców.

W Terezinie śpiewałam u Rafaela Schächtera w „Sprzedanej narzeczonej", w „Pocałunku", w „Czeskiej piosence" i w „Requiem" Giuseppe Verdiego. Początkowo ćwiczyliśmy w piwnicy, gdzie stał fortepian. Widziałam też „Brundibara" Hansa Krasy.

Auschwitz

Zanim wyjechałam z Terezina, planowana była wizyta Czerwonego Krzyża i trzeba było zrobić tzw. *Verschönerung*, czyli „upiększanie". Terezin miał być udekorowany, by oszukać delegację Czerwonego Krzyża. Jednak nie byłam tam w czasie wizyty Czerwonego Krzyża. W Terezinie byłam od kwietnia 1942 do maja 1944, kiedy wraz z bratem zostałam wywieziona do Auschwitz. Moja mama i tata wyjechali pierwszym transportem majowym do tzw. „obozu rodzinnego", a ja z bratem trzecim w maju 1944 roku. Kiedy pociąg zatrzymał się w Auschwitz, było już ciemno i słychać było ich ryczenie „Raus, raus!" Wysiedliśmy i kazano nam zostawić tam wszystkie nasze bagaże, powiedzieli nam, że dostaniemy je później. Oczywiście nigdy więcej nie zobaczyliśmy naszych toreb. Polacy byli bardzo okrutni i bili nas kijami. Ustawiliśmy się po pięć osób w rzędzie, poszliśmy dalej i zobaczyliśmy nad naszymi głowami napis „Arbeit Macht Frei" [niem. praca czyni wolnym]. Szedł z nami jakiś Polak, który powiedział, że jak ktoś z nas umie dobrze pisać, to będzie nam dobrze w Oświęcimiu.

W Oświęcimiu nas wytatuowali i dostałam numer A 4603. Policzyłam kolejkę, która szła przede mną i ustawiłam się tak, żeby suma moich cyfr wynosiła 13. Jestem przesądna i

powiedziałam sobie, że jeśli suma cyfr mojego numeru okaże się pechową 13, to wojnę przeżyję. Potem przydzielili nas do bloków. Blokowa krzyczała na nas, że mamy wszystkie wyjść na zewnątrz i zostawić wszystko w środku. Zauważyłam, że blokowy rozmawiała z moją znajomą, z którą pracowałam w *Landwirtschaft* w Terezinie, Diną Gottliebową. Nie miałem pojęcia o statusie Diny w obozie. Poszłam do Diny i powiedziałam jej, że blokowa kazała nam zostawić wszystkie rzeczy w środku - Dina kazała mi wrócić i zabrać wszystko ze sobą. Dina miała uprzywilejowany status: była kochanką *Lagerältestera* [starszego obozu] Willy'ego, dzięki czemu uratowała siebie i matkę przed gazem. Dina była śliczną dziewczyną. Przed wojną uczęszczała do szkoły plastycznej w Brnie i potrafiła pięknie rysować. Mengele wynajął ją do portretowania Romów w „obozie cygańskim" do swoich „badań". Dina rysowała także dla dzieci z bloku dziecięcego. To od Diny Gottliebowej dowiedziałam się, że naziści w Auschwitz mordowali ludzi w komorach gazowych. Kiedy dowiedziałem się o gazie, płakałam przez trzy dni.

Byłam w obozie kobiecym, gdzie ogolili nam całe ciała, ale zostawili mi włosy. Przeżyłyśmy tam kilka selekcji. Przechodziłyśmy, a Mengele tam siedział i wskazywał w lewo, w prawo. Mieli wybrać do pracy tysiąc kobiet i wskazał moją matkę i mnie. Musiałyśmy też przejść badania ginekologiczne, sprawdzali, czy nie jesteśmy w ciąży. Ja tego uniknęłam, bo byłam tak chuda, że nikt by nawet nie pomyślał, że mogłam być w ciąży. Wysłali nas do kąpieli, oczywiście bałyśmy się, że zamiast wody z pryszniców będzie leciał gaz, ale ostatecznie to była woda. Musiałyśmy wszystko zdjąć, a oni powiedzieli nam, że po praniu zabierzemy swoje rzeczy. Ale zamiast własnych rzeczy dostałyśmy okropne łachmany i buty na obcasie! Wyjechałam więc do pracy w Hamburgu w butach na wysokim obcasie!

Gdy w lipcu 1944 roku wyjeżdżałyśmy z mamą do Hamburga, tata został w Auschwitz, bo miał już 65 lat. Pożegnanie z tatą i ciocią Zofie było okropne, bo już podejrzewałam, jak to się skończy. Tata mnie uspokajał i mówił: „Ja mam życie za sobą, ty masz swoje przed sobą, cieszę się, że jedziesz z mamą". Mój ojciec nie przeżył. Poszedł do gazu w tym samym roku 1944. Najgorsze jest to, że mój tata nigdy nie wierzył w gaz. Jak mi powiedzieli, że tam palą ludzi, to strasznie płakałam, a tata ciągle powtarzał, żebym nie wierzyła, że to nie jest możliwe. Domyślam się, że biedak musiał się przekonać na własnej skórze...

Praca przymusowa w Hamburgu

W wagonie do Hamburga było nas około pięćdziesięciu kobiet. Był upalny lipiec, a my miałyśmy jedno wiadro na toaletę i jedno wiadro z wodą. Było nas tak dużo, że pamiętam,

że wieczorem nie wszystkie kobiety mogły się położyć. Moja mama zjadła kawałek kiełbasy i strasznie się rozchorowała.

Dotarłyśmy do Hamburga, do miejsca zwanego Freihafen. Był tam stary spichlerz, rampa i tory kolejowe. Nie wiedziałyśmy, co się z nami stanie, dokąd nas zabiorą, nic. Stamtąd transportowali nas do różnych zakładów, takich jak Eurotank i RTL, czasem do prac porządkowych, w zasadzie wszędzie tam, gdzie byłyśmy potrzebne. Miałyśmy oczyszczać teren po zbombardowanych budynkach, odłupywałyśmy starą zaprawę z cegieł i układałyśmy je na poboczu drogi, ponieważ tak oczyszczoną cegłę wywożono do budowy nowych budynków. Niektórzy ludzie w Hamburgu byli bardzo mili. Pamiętam, że kiedyś jedna Niemka zawołała mnie z jakiegoś budynku, żebym do niej podeszła. Na początku bałam się wejść do budynku, ale podała mi bochenek chleba i kazała podzielić się z dziewczynami. Innym razem przyszedł człowiek, który zobaczył, w jakich butach pracujemy, i przywiózł taczkę butów, żebyśmy wybrały te bardziej odpowiednie. Bo w Auschwitz wydano mi buty na obcasie, które naprawdę nie nadawały się do pracy!

Bergen-Belsen

Po jednym nalocie, który zniszczył budynki, w których mieszkałyśmy, przetransportowali nas pociągiem do innego obozu. Podczas podróży pociągiem pierwszy raz dostałam od esesmanki. Bo esesmanka bardzo chciała się nauczyć śpiewać po czesku piosenkę „Praga jest piękna", którą z jakiegoś powodu lubiła. Denerwowało mnie to, jak ciągle śpiewała, więc rzuciłam coś w stylu „głupia krowa" i natychmiast mnie uderzyła. Zabrali nas na jakąś stację kolejową. Nie miałyśmy pojęcia, gdzie jesteśmy, a był już zmierzch. O świcie dotarłyśmy do obozu. Wciąż było półmrok; nagle dostrzegłem obok siebie ogromną, ciemną górę. Przyjrzałam się uważniej i zdałam sobie sprawę, że to buty. Ogromna góra butów... Znalazłyśmy się w Bergen-Belsen.

Warunki w Bergen-Belsen były katastrofalne. Zdobycie choćby odrobiny jedzenia było strasznie trudne, kwatery okropne. Nie było wody, nie można było się umyć, latryny były obrzydliwe. Ponieważ nie starczyło latryn dla tak wielu więźniów, mężczyźni wykopali takie głębokie rowy, gdzie ludzie chodzili, widziało się męskie czy damskie pośladki i nie obchodziło cię to.

Obóz został wyzwolony 15 kwietnia 1945 roku. Po wyzwoleniu Anglicy rozdawali konserwy wieprzowe. Mama mi to skonfiskowała, powiedziała, że nie będziemy tego jeść i pozwoliła

jeść tylko suchary i mleko w proszku. Poszłyśmy rozejrzeć się po obozie. Znalazłam biuro pełne pieniędzy z różnych krajów, ale nawet nie przyszło mi do głowy, by wziąć część z nich, bo nie wiedziałem, co z nimi zrobić w Bergen-Belsen. Dla mnie ubranie i odrobina jedzenia miały wtedy większą wartość niż pieniądze. W Bergen-Belsen widziałam tyle okropności...

Lata powojenne

Moja matka i ja wyjechałyśmy z Bergen-Belsen do domu w lipcu 1945 roku. Podróżowałyśmy pociągiem przez kilka dni. Kiedy w końcu przybyłyśmy do domu, Na Morani, ludzie się na nas gapili i wszyscy coś do nas krzyczeli. Pani Schneiderova zawołała: „Liduska, twoja maszyna do pisania jest u nas!". Wszyscy Na Morani byli dla nas strasznie mili. Pepik też był już w Pradze - wrócił ze Schwarzheide po marszu śmierci. Z całej naszej rodziny przeżyłam tylko ja, moja mama, brat, moja kuzynka Inka i jeden daleki kuzyn z Jindrichuv Hradec.

Po wojnie, kiedy wróciłam z obozów, nie miałam żadnych dokumentów. Napisałam wtedy do gminy [żydowskiej], żeby mi przesłali odpis aktu urodzenia. Ale po moim chrzcie w 1939 r. usunęli mnie ze wspólnoty. Napisałam więc do księdza księdza Culika w Niżebohach, który ochrzcił mnie przed wojną. Od razu przysłał mi wszystkie moje akta i napisał bardzo piękny, miły list, jaki był szczęśliwy, że przeżyłam wojnę.

W Pradze poznałam mojego przyszłego męża, Karela Rutara. Życie jest pełne zbiegów okoliczności. Karel był właściwie prawie pierwszym mężczyzną, którego zobaczyłam w Terezinie! Po wojnie dowiedziałam się, że był głównym stolarzem i że tam był jakiś problem, który nie on spowodował, ale ukarali go za to, bo był szefem i do tego dopuścił. Esesman ukarał go, zmuszając go, żeby wyszedł na zewnątrz nago w nocy, zimą i polewali go zimną wodą. Następnie uderzył go w twarz tak mocno, że pękł mu bębenek i przez resztę życia Karel słabo słyszał na jedno ucho. Siostra Karela Ela i jego matka zostały zamordowane w Auschwitz.

Karel i ja pobraliśmy się w 1946 roku i zamieszkałam z nim w jego mieszkaniu we Vrsovicach, gdzie mieszkam do dziś. W 1947 r. urodziła nam się córka Iva i z początku byłam z nią w domu. Potem moja mama opiekowała się nią przez jakiś czas, kiedy ja poszłam do pracy w biurze firmy Teply. Po wojnie nie powodziło nam się dobrze, więc oboje z mężem pracowaliśmy. W 1949 roku urodził się nasz syn Josef. Znalazłam pracę w Sazce [w kolekturze loterii pieniężnych], gdzie pracowałam trzy dni w tygodniu, więc moja pensja

wystarczała przynajmniej na czynsz. Karel pracował w spółdzielni mleczno-tłuszczarskiej, w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego, a następnie w Orionce [fabryce czekolady].

Moja matka zmarła w 1964 roku. Na starość cierpiała na zaawansowaną chorobę Alzheimera. Mój mąż zmarł w 1966 roku w wieku 49 lat na białaczkę. Zostałam sama z dwójką dzieci. W 1968 roku mój brat Pepik wyemigrował z rodziną do Ameryki, gdzie zmarł w 2005 roku. Po wyjeździe Pepika nie mogłam już podróżować zagranicę w interesach. Mogłam jedynie zwiedzać kraje bloku socjalistycznego jako turystka. Dopiero po przejściu na emeryturę mogłam odwiedzić brata, w 1976 i ponownie w 1987. Jako emerytce pozwolono mi pojechać do Ameryki, bo komuniści woleli pozbyć się emerytów. Pamiętam, że byłam zdumiona ilością towarów dostępnych w Ameryce. Wtedy w Czechosłowacji prawie nic nie było, więc dla mnie był to ogromny kontrast. Ale muszę powiedzieć, że nigdy nie myślałam o emigracji.

Kiedy dzieci były małe, zdecydowałam się na usunięcie numeru wytatuowanego na przedramieniu. Latem, kiedy nosiłam sukienkę z krótkim rękawem, często zauważałam, jak ludzie patrzą na moje przedramię, a potem szepczą między sobą. Bywało, że zwracali się do mnie i zaczynali się nade mną litować i powtarzali, jaka ze mnie biedaczka, jak musiałam cierpieć w czasie wojny. Nie chcę niczyjej litości. Kiedy trafiłam na oddział dermatologiczny, pani doktor zapytała mnie, co mi dolega. Powiedziałam jej, że chciałabym usunąć tatuaż. Spojrzała na mnie z irytacją i zaczęła mnie besztać: „A dlaczego w ogóle zrobiłaś sobie tatuaż? Mogłaś pomyśleć, że pewnego dnia zmienisz zdanie, a teraz dokładasz mi pracy!" Więc powiedziałam jej, że nie byłam zbyt entuzjastycznie nastawiona do tego tatuażu i gdybym miała wybór, zdecydowanie nie pozwoliłabym się wytatuować. Następnie podwinęłam rękaw. Lekarka natychmiast zaczęła wylewnie przepraszać, biedactwo, nie miała pojęcia, o jaki tatuaż chodziło...

Po wojnie byłam w Auschwitz z synem, żeby to zobaczyć - zostały tylko kominy... Okazjonalnie brałam udział w obchodach upamiętniających Holokaust, a do dziś uczestniczę w wydarzeniach organizowanych przez Inicjatywę Terezin.